Lwów, 21. Października. № 126. Rok 1854.

Wychodzą we Wtorek, Czwartek i Sobotę. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr.— półroczna 3 Złr. — kwartalna 1 Złr. 30 kr. — miesięczna 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr.— półrocznie 4 Złr.—kwartalnie 2 Złr. m. k.

NOWINY

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następ. po 1 ½ kr. i za dopłata 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*

DZIWO - ŻONA.

Powieść społeczesna

przez

Zygmunta Kaczkowskiego.

XIV.

(Ciąg dalszy)

Adela, rozpatrzywszy się nazajutrz dokładnie w pałacu i jego całem otoczeniu, nie umiała się posiąść z radości, a to o tyle mniej jeszcze, ile że apartamenta, przeznaczone na jej mieszkanie, były jeszcze ze stokroć doborniejszą wykwintnością przybrane, niżeli wszystkie inne w pałacu. O czem tylko zamarzyć może młoda, na wielkim świecie wychowana kobieta, wszystko się tam znajdowało: owe miliony niby-to niepotrzebnych a jednak niezbędnych gracików, wszystkie narządy do toalety, wszystkie do robótek kobiecych naczynia, biblioteka, galeryjka obrazów i rycin, łazienka nawet, marmurem wykładana ze srebrną wanną, dziedziczną w domu przodków Edmunda, była urządzona na dole i kręconemi schodami z sypialnią połączona. Widok takiego komfortu, łączącego się wszędzie z przepychem, zajął niezmiernie Adelę. Marzyło jej się coś takiego już nieraz po głowie, czuła to zawsze, że okolenie takie jest do jej szczęścia niezbędnem, spodziewała się nawet wiele pod tym względem po eleganckim i starannie wychowanym Edmundzie: ale żeby to wszystko aż tak wyglądało, żeby rzeczy niby podrzędne w sobie tak główne mogły uczynić wrażenie, nie wyobrażała sobie nigdy. Ale my za to stąd możemy sobie wyobrazić z łatwością, jak żywą wdzięczność z tej przyczyny uczuła młoda żona dla swego męża, którego miłość, staranność, dobroć, poświęcenie się odbijały się tak niezaprzeczenie w tem dziele. W istocie też Adela, jeżeli miała kiedy cokolwiek sympatyi dla Edmunda, to teraz czuła się przezeń zwyciężoną zupełnie i oddała mu się z owem pełnem wylaniem serca i ową nieograniczoną miłością, która tak łatwo rodzi się w sercach kobiet a która, jakże, pomimo to zawsze jest wiotką i nietrwałą! Lecz póki trwa, zamienia w raj niebieski nam biedakom nasze ciernistę życie na ziemi i gruntuje w sobie na późne lata jedyne źródło pociechy i orzeźwienia.

Edmund już znał się na miłości cokolwiek, ale miłość jest jak kalejdoskop, któren miliony ma w sobie barw i odcieni i z nich milionowe układa obrazy, całkiem niepodobne do siebie. Takiej też miłości Edmund nie znał zupełnie; czuł jej potrzebę w sercu, pragnął jej wszelkiemi siłami swej duszy, bo wiedział, że tylko taka miłość uświęcona błogosławieństwem Boskiem, może się stać Aniołem zbawcą dla niego, wskrzesicielem jego uczuć czystych i myśli wyniosłych, szlachetnych, i taka tylko miłość, zaspakająca potrzebę jego wrzącego serca i przytem wprowadzająca go w rozmierzoną kolej życia, może dać pewną rękojmię jego pożyteczności a może i wielkości na przyszłość.

Warunki tedy do prawdziwego szczęścia dla tych obojga ludzi były, jak widzimy, jak najzupełniej spełnione, — dostatki, upragniona przez nich pozycya w świecie, młodość zdrowie i siły a do tego niebo nad nimi wypogodzone i żadną choćby najmniejszą chmurką nie grożące; — czegóż takiej parze ludzi więcej do szczęścia potrzeba?

Jakoż za temi warunkami zstąpiło pomiędzy nich rzeczywiście to szczęście. Już po kilku dniach pobytu na wsi ugruntowała i odkryła się w całej pełni ich miłość wzajemna. Adela wyrzekła się ostatnich resztek kaprysu i dziwactwa, Edmund ostatnią chmurkę, pozostałą po gorzkich wspomnieniach Kamila, starł z swego wypogodzonego czoła. I oddawali wizyty po sąsiedztwach, w złotym oboje humorze, siejąc wszędzie miłość, zgodę i dobre nadzieje a zostawiając po sobie sąsiadom najprzyjemniejsze wspomnienia.

Z upływającym czasem Edmund coraz tkliwszą starannością otoczył Adelę i każden jej uśmiech, każden jej widok, podwajał jeszcze jego uczucie szczęścia; — ona znów przepełniła się szczególniejszym szacunkiem i głęboką wdzięcznością dla niego, w dowód czego, wiedząc że tyle dla niej poczynił wydatków i widząc, że ma znaczne długi na swoich dobrach, ofiarowała mu własność dóbr swoich podolskich, odziedziczonych po ojcu, radząc przytem, ażeby je sprzedał, długi swoje popłacił a za resztę owych parę wiosek przykupił, które jej dobra górskie odgraniczały od jego majątku. Rozczulony takim dowodem serca swej żony Edmund, nie chciał z razu nic przyjąć, ale Burka, który jakkolwiek z przyjaciela pańskiego stał się teraz przyjacielem swoich państwa obojga, pomimo to jednak zawsze był bliższym Edmunda, zgorszył się tem szkaradnie i wymógł to na Edmundzie, że połowę dóbr tamtych sprzedano i długi popłacono. Przyjęcie ofiary zrodziło znów wdzięczność z drugiej strony i tak miłość dawną umocniło jeszcze nowe uczucie.

Dom, w którym tak piękne rządziły uczucia, stał się naturalnie otwartym dla całego sąsiedztwa a że sąsiedztwa są w Polsce tak wielkie, że mogły-by w swoich granicach kilka xięstw niemieckich pomieścić, i serca przytem jakby do gościny tylko stworzone: więc prawie się i nie zamykała brama Edmundowego pałacu. Kto tylko żył i rościł sobie jakiekolwiek prawo do lepszych towarzystw, każdy tam bywał i brał żywy udział w obiadach, przejeżdżkach, balach, herbatach i polowaniach, które były na zawołanie dla gości. Krzywiły się trochę drobniejsze szlachcianki na panią Edmundową, która czasem przez zapomnienie drwiła z nich w oczy, — kręcili nosami panowie dorobkiewicze na Edmunda, który w człowieku przedewszystkiem szanował herbownego szlachcica, — ale nie wyrastały stąd żadne nieprzyjemności, przeciwnie nawet rodziły się stąd nieraz zabawne zarzutki i anegdotki, które rozweselały i szczęśliwych małżonków i całe sąsiedztwo.

W dalszym czasie zabrał się Edmund cokolwiek do pracy. Przeszedł on z Burką wszystkie gospodarskie i kassowe regestra, powyjaśniał wszystkie dawne nieporozumienia i na nowo regulował wszystkie stosunki: skąd wypłynęło to, że popłacono wszystkie zastarzałe pretensye, pozaopatrywano dobroczynnie tych, którzy z dawnych usług u ojca mieli prawo do pamięci i łaski u syna i nakoniec uczyniono zadość z słusznością wymaganiom wszystkich sług i oficyalistów. To zjednało Edmundowi wiele serc i umysłów a jego własnemu sercu przyniosło owe szczęśliwe zadowolenie ze siebie, które każden człek prawy ceni wyżej nad wszystkie ludzkie pochwały i oklaski. Zarazem z tem zatrudnieniem począł on się zajmować gospodarstwem: w skutek czego poczyniono wiele ulepszeń, pozaspokajano dawno już się uczuć dające potrzeby, posprawiano wiele nowych narzędzi, poregulowano grunta i granice, uczyniono porządek z lasem, któren zaczął nabierać coraz większej wartości. Widząc to wszystko i wspólnie pracując z swoim kochanym panem, stary Burka się nie posiadał z radości i dziękując panu Bogu w swoich codziennych modlitwach za to szczęście, którego się z swego panicza doczekał, nie przestawał dodawać prośby, ażeby mu Bóg dał wytrwałość i żadnych zmian w nim nie dopuszczał. Tymczasem zaś wierny sługa dopomagał sam swemu panu z natężoną pilnością, jakoż przy jego pomocy ponaprawiało się wszystko to, co było zepsute i cała administracyjna machina została puszczona w ruch regularny, porządny i w każdym razie pewny najlepszych skutków. To znowu drugie zadowolenie przyniosło Edmundowi, a że mu w tej pracy jego poczciwie i wiernie dopomagali wszyscy oficyaliści i wszystkie gromady, więc każdego z oficyalistów wynagrodził z osobna, dla gromad zaś urządził szpichlerz wraz z bankiem pożyczkowym i Adelę zrobił dyrektorką tego zakładu. Młoda pani była bardzo z tego kontenta i z szczególnem zajęciem oddała się swojemu urzędowi; — i tak wszystko, co się tylko poczęło, wiodło się jak z płatka i przynosiło tylko coraz to nowe owoce szczęścia i radości.

I tak minął rok cały.

Następnej wiosny zaraz po skończonych zasiewach, ażeby przerwać cokolwiek jednostajność wiejskiego życia, wywiózł Edmund swoją żonę na małą przejażdżkę. Wyjechawszy z nią do Karlsbadu, zwiedził saską Szwajcaryę, Pragę, Berlin i Drezno, potem przejechał część Tyrolu i Styryi i skończył na spędzeniu kilku tygodni w Wenecyi. Adela, lubo się dosyć dobrze bawiła w tej zajmującej podróży, okazywała jednak po kilkakroć chętkę, ażeby zamiast tego kręcenia się w ciasnem kole prowincyj austryackich, pojechać na parę tygodni do Paryża. Ale Edmund ani sobie mówić dał o tem. Młoda żona wszakże nie przestawała na tem i coraz częściej poczęła o Paryżu wspominać, przyszło nawet stąd do łez i małej scenki małżeńskiej, — ale Edmund był niewzruszony i utrzymał się przy swej woli.

Przyczyną jego uporu w tym punkcie zdaje się, że nie było nic innego, jak tylko to, iż podług wieści dawniejszych, udzielanych Burce od Szlyka, Kamil miał się znajdować w Paryżu: ale tego niepotrzebnie obawiał się Edmund, bo Adela od czasu swego zamęścia kilkadziesiąt razy już sobie przypominała Kamila, ale zawsze li na to, ażeby się sobie samej zadziwić, jak też go mogła kiedykolwiek postawić w porównanie z Edmundem.

Po tej małej podróży powrócili małżonkowie do siebie. Adela sobie już w drodze wybiła z głowy swoją urojoną podróż do Paryża, — i tak teraz jak pierwej nie było żadnej chmurki, która-by mąciła ich szczęście domowe, wytrawione, spokojne i utrwalające się z każdym dniem więcej i głębiej. Edmund czuł się swobodnym i wolnym, Adela wesołą a nawet trzpiotowatą cokolwiek, co wszystko tylko jeszcze rozszerzało oktawę harmonii, wiążącej ich umysły i serca do siebie.

W późnej jesieni poczęły się znów przyjmowania sąsiadów, herbaty i polowania, w których brały udział częstokroć nawet bardzo oddalone sąsiedztwa. W Grudniu poczęto robić projekta przyszłego karnawału. O wyjeździe na zimę do miasta ani mowy nie było i chodziło li o to, ażeby z kilkoma domami większemi tak dnie zapust na siebie rozebrać, ażeby w żadnym tygodniu na dwóch balach przynajmniej nie brakło. Naszej szlachcie, choćby jak była przygniecioną i sfrasowaną, trzeba dać tylko popęd do zabaw, to będzie się bawić. Wszakże widzieliśmy ją już nieraz tańcującą natenczas, kiedy całe narody płakały, i widzieliśmy ją już tańcującą prawie na świeżych grobach swych braci. A taki popęd umiał dać doskonale Edmund z swoją młodą i tylko do zabaw stworzoną małżonką. Jakoż zorganizował się cały karnawał wybornie, szlachcianki rozdzierały pomiędzy siebie dnie

na tańce przeznaczone i zrobiło się nakoniec więcej dni balowych, niżeli było potrzeba.

Po tak szczęśliwie ułożonym projekcie, wiele sobie obiecywano po tym karnawale. Panowie byli bardzo z tego kontenci, bo byli na całą zimę pewni wesołych pogadanek i partyj, a panie kontente w dwójnasób, bo nietylko miały już pewność, że będą miały gdzie prezentować swoje stroje i ząbki, córeczki i rączki, ale jeszcze miały i tę pewność, że im na tancerzach nie braknie, *albowiem* właśnie co przed samą jesienią rozlokowany został w tej okolicy pułk cały huzarów. Używam tutaj dla tego lapidarnego wyrazu *albowiem*, bo nagłe przyjście całego pułku huzarów w jakiejś okolicy jest dla lubiących się bawić sąsiadek także lapidarnym wypadkiem.

Wiadomo jest powszechnie, że oficerskie stopnie w kawaleryi zajmują u nas wyłącznie prawie sama szlachta-panicze. Ale półki huzarskie odznaczają się jeszcze tem pomiędzy innemi, że mieszczą w sobie znów samą prawie arystokracyę, i to arystokracyę wszystkich narodów. Potomkowie najpierwszych rodzin ze wszystkich austryackich prowincyj zdybują się tam z takiemiż samemi imionami północnych i południowych Niemiec i z takiemiż imionami Włoch, Francyi i Anglii, — a często się zdarza, iż majątki oficerów takiego pułku zebrane razem wynoszą kilkanaście lub więcej milionów. Za majątkiem i rodem idzie i wychowanie, swoboda bycia i życia, wykształcenie, talenta i t. d.— wychowanie, wprawdzie częstokroć spaczone, swoboda bycia dochodząca szczególniejszej śmiałości, swoboda życia przechodząca częstokroć wszelkie granice, wykształcenie czasem powierzchownie błyszczące, talenta do przedsiębiorstw, bez których-by się bardzo obeszło, — ale pomimo to wszystkie te rzeczy, przy majątku, imieniu, popłacają bardzo w świecie, lubiącym zabawy i popłacają u kobiet, osobliwie takich, które z czystej miłości bliźniego nie czynią pomiędzy ludźmi różnicy i w braku ułanów mogą lubić huzarów.

Dzięki tej miłości bliźniego i szczególniejszej grzeczności huzarów, karnawał ten udał się przewybornie i tak rozochocił wszystkich, że się jeszcze i postowi dostało. Huzary zrobili sobie wiekuistą reputacyę w całej okolicy i już dawno post minął, a panie nie mogły się jeszcze nachwalić do syta ich grzeczności, ich ułożenia, zręczności w tańcu i różnych innych partykularnych talentów. Wprawdzie do tych przyjemności dołączyły się także, (jak to niestety zawsze bywa na świecie,) tu i owdzie małe nieprzyjemności: i tak pan Grzegórz przeklął wszystkie półki od wszystkich djabłów, zrzucił się z balu, który miał dać u siebie, a żonę zamknął na siedm zamków, — pan Karol, który już był po deklaracyi z panną Hortenzyą, ni stąd ni z owąd dostał formalną rekuzę, strzelał się o to, ale stracił rękę i pannę na zawsze, — panu Jakóbowi urodził się synek z takim szramem na prawym policzku, jak gdyby na ten świat przychodził prosto z placu pojedynku, — pani Afanazya poróżniła się z mężem na serio i wyjechała do Lwowa, — i wszystko to razem przypisywano gościom: pomimo to jednak huzary, już zanadto się oswoili i pozaprzyjaźniali ze sąsiedzkiemi domami i bywali potem wszędzie tak gęsto, jak podczas karnawału.

Jeden tylko Edmund umiał tak zręcznie nadać pożądaną niezawisłość swojemu domowi, że prócz krótkich wizytek albo nawet tylko kartami zbywanych, uwolnił swój dom od tych gości, jakkolwiek bardzo piękne mieli talenta i jeszcze piękniejsze nazwiska.

Ale niestety! było to już cokolwiek za późno.

Zaraz bowiem jak tylko śniegi puściły, puściły się razem z niemi i jakieś głuche wieści o pani hrabinie, (tak nazywano powszechnie Adelę,) i to wieści, tak dziwnie skomplikowane i tak jej dobrej sławie ubliżające, że patrząc na jej ciągłą wesołość, swobodę umysłu i nieprzerwanie szczęśliwe pożycie z mężem, niepodobna było im nawet w przybliżeniu dać wiarę. Każden się zapewne domyśla, że złośliwe języki zazdrośnych jej piękności sąsiadek jakiś romans jej przyczepiły; — ale to źle się każden domyśla: też języki bowiem przyczepiły jej aż trzy naraz romanse, z których dwa miały być jeden po drugim zaczęte i jakąś sztuką łamaną, zadziwiającą rozumy okolicznych kokietek, jeden po drugim zerwane, ale za to trzeci zaczęty i szczęśliwie w ciemną przyszłość do dziś prowadzony.

Wieści te, jakkolwiek tuż koło dworu Edmundowego jak bomby latały, nie doszły uszu Edmunda i Edmund był zawsze swobodny, szczęśliwy i kochał żonę tak zapamiętale jak dawniej: ale wieści te fatalne na jakimś jarmarku albolitеż odpuście doszły do uszu starego Burki i doszły do niego w ogromnej swojej całkowitości i ze wszystkiemi nawet najdrobniejszemi szczegółami, pomiędzy któremi ten był najdobitniejszy, że kto temu nie wierzy, niechaj jedzie do pobliskiego miasteczka na stacyę huzarów a tam się najdowodniej przekona.

Poczciwy szlachcic, który więcej kochał Edmunda niż siebie samego, kiedy się o tem dowiedział, zmartwił się tak, jak gdyby mu dziecko umarło. Wtem umartwieniu przewracał on się przez całą noc z boku na bok, przez cały dzień potem chodził jak po odpuście a przed wieczorem wsiadł do swojego wózka, wziął ze sobą swoją starą serpentynę i dubeltówkę, bez których się nigdzie nie ruszał, i pojechał do owego nieszczęsnego miasteczka. (C. d. n.)

GWIDO.

przez **Henryka Jabłońskiego.**

(Ciąg dalszy)

V.

— «Puść mię mój ojcze! — bo umrę z tęsknoty...
Ja chcę imienia, chcę szerokiej sławy,

Coby świeciła, niby wieniec złoty....
I ten nasz klejnot czynem ojców krwawy,
Ustroję w świetne, wawrzynowe sploty,
I opromienię — puść ojcze łaskawy!"

A twarz ojcowska płomieniem pałała;
Była jak księżyc na pełni czerwona,
To znowu sina, to jak chusta biała;
Jęczał bezwładnie spuszczając ramiona:
«Syn mój jedynak, rodzinie zakała!
Syn muzykantem!" Pobladł i — już kona...

Matka staruszka padła jak nieżywa,
Z załamanemi okropnie rękami.

Tu, u nóg moich matki głowa siwa
W proch się nurzała śrebrnemi splotami;
A tam powietrze, niby harfa śpiewa —
Harfa boleści — moich sióstr jękanie;
A ja jak posąg świecę śród boleści,
Blady i ze łzą w oku skamieniałą...

W głowie myśl jedna: gdyby jęk niewieści:
Słowo, co w piersi umarłej skonało,
Przelać w pieśń jedną — w pienie takiej treści,
Jak słowo *„nigdy“* — by czoło zbielało,
I serce zmarło, — i włos wstał zjeżony,
Słuchaczom pieśni, jako mnie w tej chwili....
Pójdę i zaklnę moją boleść w tony...

Słysząc me granie do koła mówili,
Kiwając głowy: szalony! szalony!
Jedni wzdychali, a drudzy gromili.

Wiesz kto mię pojął? Kto miał ducha więcej,
Piękniejsze serce, umysł wykształcony
Więcej od ludzi — bo uczuł goręcej?..
— Pies pod oknami! — wył mi na te tony,
Co ja płakałem w duszy mej dziecięcej;
Wiater mię pojął i cerkiewne dzwony,
I nikt, nikt więcej,

Stara moja matka,
Na pierś mi białe położyła czoło;
Twarz miała suchą, bledszą od opłatka,
A w koło oczu straszne sine koło...

—«Pozwól mi, synu, dożyć dni ostatka,
Patrząc na ciebie, to umrę wesoło!
O, nie opuszczaj!
Choćbyś raj na ziemi,
Raj cały znalazł, — to nie znajdziesz domu;
Nikt cię nie zwita oczyma takiemi,
I tak na sercu nie uśmiesz nikomu,
Nie znajdziesz matki, tam między obcemi
Nie jedź?!" —
«Pojadę."
Padła jak od gromu.
I długo długo tak była omdlona...
Odtarli — przecież z ziemi nie powstała,
Próżno ją brałem jak dziecię w ramiona
«Nie," prawi, «będę tak u nóg leżała,
Może cię łzami zatrzymam u łona —
Nie idź! o, nie idź!" jak gołąb' jęczała.

Trzy moje siostry, trzy kwiaty różane,
Białym mię wieńcem oplotły do koła,
I «zostań!" łkały blade, zapłakane,
W rączęta drobne tuląc białe czoła....

—«Matko! siostrzyce moje! nie zostanę!
Łzy wasze — nic mię zatrzymać nie zdoła!"

VI.

Oto wędrowiec, biedny, bez imienia,
Puszczam się na świat nieznany, daleki —
Na głód i nędzę idę, na cierpienia,
Na mrozy uczuć, namiętności spieki,
Na judaszowskie idę uściśnienia..
Żegnam was żegnam! a może na wieki....

Za mną grób ojca świeci ziemią czarną,
Na łożu matka jęczy nieszczęśliwa,
Do niej się córki z rzewnym płaczem garną,
Czeladka wierna we łzach się rozpływa;
Za mną dom cały płacznicą ofiarną,
Ofiarą ducha, co mię w świat porywa...

Za mną łan ojca i sieroty młode —
Pole bez pana, dzieci bez ochrony,
Na każden wicher, na każdą przygodę
Zostaną same, — a sępiemi szpony,
Sąsiedzi przyjdą, rozerwą zagrodę...
Z skrwawionem sercem idę w obce strony.

Za mną dziecinnych moich marzeń strona,
Wieje woń kwiatów, strumieniami brzęczy,
Perłami rannej rosy ośrebrzona,
Niby raj boży w źwierciadlanej tęczy;
Stary dąb za mną wyciąga ramiona,
Bor szumi, dzwonek na kościele jęczy....

Przedemną we mgle świecą obce kraje,
Kościoły z kwiatów kamiennych plecione,
Gaje wawrzynów i cyprysów gaje,
Ludzie promienni, dziewice natchnione.....
Przedemną z gruzów stara Roma wstaje,
I bóstwa Grecji w marmurach uśpione.

Przedemną cudny jakiś świat słoneczny,
I jakiś urok co sercami włada,
Jakieś pragnienie, jak miecz obosieczny,
Co pędzi na przód choć ciało upada...
I jakaś wiara, co mi mówi: wieczny!
A gdy się wstrzymam woła za mną: biada!

(C. d. n.)

DZIECIOBÓJCA.

(Z opowiadań Antoniego Pietkiewicza.)

(Ciąg dalszy).

Stary Artemisko po prostu oszalał z radości! Bywało to i śmiech i sercu lubo patrzeć na niego! Nie wiem zkąd się u niego brały i siły, i czas, i rozum do tego! Bo to

i z trzodą chodzi, i pieluszki wypierze, i dziecinkę wykąpie, spowije, nakarmi; a wszystko tak mu gładko idzie, jakby cały swój wiek był mamką! A rusza za trzodą, to kołyskę zarzuci na plecy i przyśpiewuje; a nie wiem już zkąd się u niego brały te piosneczki dziwne, niesłychane, a takie pocieszne, że aż się za boki weźmiesz, posłyszawszy! A wprowadzi trzódkę na paszę, to kołyskę przyczepi do drzewa, siądzie na pieńku, kapelusz plecie, Zonię kołysze i piosnkę śpiewa. A miał cztery tęgie kondysy, z których każdy wilka by podążał, to te mu jak chłopcy trzody pilnowały, a on sobie bajdurzy!»

«Tak zeszła wiosna i lato, i aż do późnej jesieni. Zonia już wyszła z pieluszek, wyładniała jak aniołek Boży, zaczęła i nóżki stawiać i słówka składać. Oj! co to za radość była Artemowi, jak ją raz pierwszy posłyszał mówiącą:«dziaduniu,»jak ją na nóżkach obaczył! Wróciwszy z trzodą, żadnej chaty nie minął, do każdego gospodarza zajść musiał by mu się swoją radością pochwalić. Przyszedł i do mnie, namówił Janka do zabawy z Zonią, stał, oparł się o ścianę, a patrząc jak jego pociecha wstawała na nóżki, złożył ręce na piersiach jak do pacierza, i patrząc w nią jak w tęczę, i chwiejąc posiwiałą głową, śmiał się radośnie, a łzy mu, jak groch, sypały się z oczu. A mnie coś tak tęskno się zrobiło i chłód ścisnął serce, — od zimnej mogiły powiało na mnie!.. Pozazdrościłem biednemu Artemowi Zoni jego drogiej!.. A jak ją wziął na ręce i wyszedł z chaty, a Janko mój, wyciągając za nią rączynki, rzewnie płakać, to i mnie z żalu serce zabolało! Pobiegłem za Artemem, zacząłem go prosić i namawiać, by do mojej chaty przeniósł się na zimę, ale się nie dał uprosić! Nie nacieszył się jeszcze Znachodką swoją i ludziom jej zazdrościł!«

«Dopiero aż czwartej zimy nakłonił się na moją prośbę, i przyjął u mnie gościnę. I nie żałował tego, bo i sam miał z kim pobaraszkować i Zonia miała z kim poigrać. Bywało obadwa aż do łez się śmiejemy, patrząc jak dziatwa się bawi! Janko już wtedy miał siódmy roczek, i żwawy był chłopiec; to Zoni różne wymyślał zabawki, i karmił ją, i stroił, i pacierz z nią mówił, i na ręku nosił, i lubiły się dziatki, jak dwie turkaweczki.»

»Za to, jak przyszła wiosna, jak pierwszy raz trzódka ruszyła w pole, a za nią Artem i Zonia, mój biedny Janko zachodził się od płaczu, prosząc mnie koniecznie bym ja i jemu pójść z niemi pozwolił. I pozwoliłem; bo i ja stary, gotówbym pobiedz za Zonią, — taka to była serdeczna dziecina! Pozwoliłem i drugi, i trzeci raz, i dziesiąty; lecz potem strach mi się zrobiło, by z Jankiem bezemnie co złego się nie stało, i choć przeciw sercu, coraz rzadziej i rzadziej dawałem mu wolę. Zrazu trapiło się niebożę i popłakiwało; ale jak mu rzekłem, że mnie staremu tęskno bez niego, tak już ani wspomniał o trzodzie. Ej! bo to było serduszko miękkie i słodkie jak świeży plaster miodu lipowego!... To tylko wieczorem, jak trzódka powraca, wybieży bywało aż pod trzecią chatkę, nabrawszy pełną pazuchę gruszek, a jabłuszek, a śliwek, a różnych zabawek; a spotkawszy Zonię, *zamani* do naszej chaty, i już aż do późnej nocy igrają; a stary Artem bandurzy ze mną na przyzbie jak mnie roboty nie ma; a nie, to sobie siadłszy, niby to kapelusz, albo koszyk plecie, a na prawdę bawi się z dziećmi stary dzieciuch.«

«Na zimę znowu osiadł w mojej chacie. Tak przez cztery roki. A Zonia rosła i w lata i w rozum, i w krasę; rosła jak jabłonka dzika, którą Bóg choduje, słonkiem ogrzewa, rosą polewa, i mchem mięciutkim z północy odziewa, deszczem obmywa, a wiatrem bujne kosy rozczesuje. Bywało jak wraca z trzodą, ubrawszy się w kwieciste wianeczki, albo pod jesień w żółte, krasne i sine liście brzozowe a osikowe; i sznury korali z *szypszyny*, a biegąc z zieloną rószczką za owcami, przyśpiewuje sobie, jak ptaszątko jakie; to nie było człeka, co by nie stanął i nie podziwił się na nią i dobrego słówka nie powiedział! Miała już lat ośm, i prawą ręką Artemowi była, gdzie tam prawą ręką! Dziad już się dobrze posunął, już i nie zdużał, już i nie dowidział i niedosłyszał; to ona za niego miała i uszy i oczy, i nogi, i ręce, była jemu wszystkiem, była jemu siłą i zdrowiem, i życiem! Mnie Janko toż samo, choć sam byłem krzepki. Miał już jedenaście lato, a i z pługiem chodził, i do sierpa stawał, i w kosę dzwonił, i cepem dzielnie wywijał.»

«A tego roku jakoś słoneczko wcześnie przygrzało, ciepły wietrzyk dmuchnął, i zima czmychnęła, aniśmy się spostrzegli. Na trzy niedziele przed Wielkanocą już tylko gdzieniegdzie po głębokich jarach szmateczki śniegu świeciły, jakby wielkie pióra ze skrzydeł zimy, pogubione w pośpiesznym locie, a nasze wzgórza, skąpawszy się w ciepluchnym deszczu, wygrzawszy boki na ciepluchnem słonku, odżyły, zazieleniały, zakwitły! Zaklekotały bociany, i klucz za kluczem, z radośnym krzykiem, pociągnęły gęsie i żórawie, a w lesie aż drzewa się trzęsły od wesołej wrzawy rozlicznego ptastwa, co z piosnką do miłej pracy się brało. Mój bocian także przyleciał; zaciągnąłem koło na obórkę, i drugi gnieździć się zaczął. Ono to prawda, że i radość i smutek od Boga; ale jakoś mi serce raźniej zaigrało w piersiach; bo ludzie mówią, że gdzie się bocian gnieździ, tam się szczęście gnieździ... Szczęście od Boga; ależ bo i bocian Pana Boga słucha... to i dziękowałem Bogu za bociana.»

«Artem zwykle na wiosnę zdawało się, że młodniał, że zrzucał z plec z dziesiątek latek; dumki a szumki sypały się z głowy, jak pszczoły z ula. A teraz, chocia zdrów jak rybka, coś tak posmutniał, tak główkę spuścił, że aż żal było patrzeć na niego! Ej! powtarzał ciągle, nie długo mnie już gościć na świecie! Czuję, że nawet jajka święconego z wami jeść nie będę!... już nawet i ciało

moje *syrą* ziemią trąci. Ja go pocieszałem, ja mu prawiłem, co mogłem, by te gorzkie myśli wybić z starej głowy; on słuchał, słuchał potrząsając czołem, a łzy po zmarszczonej płynęły twarzy. Ej! mówił — nie myślcie bo kumie, że mi tak ciężko umierać, że mi tak żal za światem! Co w nim? nahorował się da nabidkał się człek nie mało, nieraz się krwawemi łzami oblał; to czegoż żałować? A tam już cała siemja wygląda starego z dawna, to i grzech nawet tak długo marudzić. Ale mi serce się kraje, ot za tą sierotką, za mą złotą Zonią! Boje się, by tu jej bezemnie ludzie nie krzywdzili! — Nie bójcie się kumie, mówiłem, ja ją zasłonię od niedobrych ludzi! nie bójcie się kumie! ja ją w serce wezmę! A on dziękował i jakoś weselał trochę.«

«Nadszedł wielki tydzień. We środę raniutko Artem się wyspowiadał nabożnie, oczyścił duszę, przyjął Pana Boga; a idąc za trzodą zaszedł do mojej chaty, rzucił się mnie na szyję, całując i obejmując i głośno płacząc, i prosząc, abym pamiętał o tem, com powiedział, abym jego Zoni nie dał złym ludziom krzywdzić. Coś i mnie smutno się zrobiło. serce się ścisnęło, łzy stanęły w oczach... Poszedł on z Zonią za trzodą, ja miałem iść z pługiem na swoją niwę, ale mi smutek i siły i ochotę odjął, i ręce opadły. Parobka tylko posłałem, a sam poszedłem przątać koło chaty na święta, Janko mi pomagał, ale coś obu nam nie szło. Niespokojność dziwna wpiła się w serce, jak zła gadzina i niczem wyrwać jej nie można było! I praca nie szła, i południek smaczny nie smakował; i z utęsknieniem zachodu słońca czekałem, żeby czem prędzej Artema i Zonię z trzodą obaczyć, i coraz to wyglądałem na ulicę.»

«Kiedy raz spojrzę, aż no bieży Zonia co jest siły, z roztrzepaną kosą, z pokrwawionemi nóżkami, krzycząc i zalewając się łzami i rączki łamiąc. Oj! woła, biegnijcie, biegnijcie czem prędzej!... coś się Artemowi stało! położył się, zadrzemał i wstawać już nie chce, i zbudzić go nie mo na!«

«Uderzyłem w dłonie z przestrachem, i serce obumarło we mnie, i tak jak stałem puściłem się w pole do Artema, nie widząc nawet, że za mną w ślad skoczyli Zonia i Janko. Nie wiem już, jak ja trafiłem, ale jak raz stanąłem na tem samem miejscu, gdzie pod figurą u zielonej brzozy, oparłszy głowę na zwiniętej świcie, leżał stary Artem twarzą ku niebiosom, z rękami skrzyżowanemi na piersiach. Zdawało się, że drzemie, i że jakiś miły sen jemu śni się; bo twarz była taka spokojna, taka wesoła jakaś!... Przy nogach leżał stary jego kundys, i coraz to łapą go drapiąc, wietrzył i zawywał smutnie; a trzoda, nie pasąc się, lecz stojąc w miejscu, rwała racicami ziemię i głucho rykała. A było to jak raz pod tą samą brzozą, gdzie, ośm lat temu, matka naszej Zoni skonała! Oj! pomyślałem sobie — biedna sierotko dwa razy! będęż ja ciebie miłować a pielęgnować więcej, niż rodzoną swoją! I dziwna rzecz — zdało mi się, serdeczny panie, że stary Artem niby się uśmiechnął, i niby coś szepnął jakby Bóg zapłać! (C. d. n.)

Zabezpieczenia.

(Ciąg dalszy).

W tym względzie zaszło niezaprzeczenie najdalej towarzystwo assekuracyjne, znane u nas pod firmą już dawno zaszczytnie znaną: *Assicurazioni generali*, którego przedstawicielem i głównym ajentem jest u nas pan Eug. R i c h e t i.

Towarzystwo to najwięcej można powiedzieć stara się o to, aby wszystkie polepszenia i korzystne dla ogółu przemiany, jakie się tylko w zagranicznych tego rodzaju towarzystwach pojawia, zaprowadzić u siebie, i celuje nietylko akuratnością i rzetelnością wzorową, ale i ułatwieniami wszelkiego rodzaju, jakich udziela współuczestnikom swoim, a które przed innemi udzielać może właśnie dla tego, że się potrafiło podnieść w finansowym względzie, i że pojmując wyższe swe powołanie, uważało za obowiązek przypuszczać współuczestników swoich do udziału w zysku, jaki jemu ta spekulacya przynosi.

Jakoż od roku 1852. zaprowadziło towarzystwo Assicurazioni generali tę wielkiej korzyści zmianę w swych urządzeniach, że dla zabezpieczonych swoich przeznacza corocznie 75 procentu swego własnego zysku; straty zaś wszelkie, wyniknąć mogące, przyjmuje samo na siebie. Zwrócenie tej części zysku nastąpić ma w lat pięć, a zatem zwiększy się ona jeszcze przez procenta, jakie w tym czasie narosną. Zwrócenie to może zabezpieczony albo odebrać w gotówce, albo przeznaczyć na zwiększenie kwoty zabezpieczonej, albo też na zmniejszenie dalszych rocznych wkładek pieniężnych. Jest to, każdy przyznać musi, korzyść niepospolita, dobrowolnie ogółowi przez to towarzystwo ofiarowana, której żadne inne towarzystwo w państwie austryackiem istniejące nie daje.

Niemniej ważnemi są następujące dawniej nie używane korzyści:

Co lat 10 następuje zmniejszenie rocznych wkładek pieniężnych o 5 procentu najmniej.

Nareszcie pod pewnemi warunkami wielce korzystnemi dla zabezpieczonych, mogą oni płacić połowę tylko wkładek, wedle taryfy naznaczonych.

Wszystkie te nowe urządzenia, ulepszenia i warunki zawierać będzie broszura polska o zabespieczeniach życia, ułożona popularnie przez jednego z znanych tutejszych literatów, która w tych czasach wyjdzie z druku tu we Lwowie.

Zakończymy ten artykuł przytoczeniem kilku liczb, któ

re najlepiej przedstawią stan towarzystwa *Assicurazioni generali*, i dadzą wyobrażenie o zbawiennych działaniach jego, które mogą być jeszcze spotęgowane, za pomocą większego w powszechności udziału, którego życzyć sobie należy dla dobra ogółu.

Kapitał, którym towarzystwo rozrządzać może, wynosi przeszło dziesięć milionów; mianowicie:

Zakładowego kapitału 2,000,000.

Rożnego przychodu z wkładek pieniężnych i procentów 3,000,000.

Funduszu rezerwowego, który jest po większej części na dobrach ziemskich ulokowany 5,513,190 złr. 38 gr.

Rezultat zaś bilansu z r. 1853 jest następujący:

Akcyonaryusze towarzystwa wzięli 184,252 złr. 16 gr. rocznej dywidendy z procentów i zysku.

735 zabespieczonych umarło, i po ich śmierci towarzystwo wypłaciło w kapitale 1,116,223 złr. 48 gr. a w dochodach rocznych 20,165 złr.

Z tych 735 osób umarło 107 w pierwszym zaraz roku zabespieczenia swego, a 44 osób nie dożyło lat 30.

Tych 151 osób miało 202,182 złr. 6 gr. zabespieczonego kapitału, a 4,133 złr. 20 gr. dochodu zabespieczonego: na co towarzystwo odebrało od nich pieniędzy wkładkowych tylko 11,547 złr. 1 gr.

Zda się nam, że te cyfry nadto jasno same za sobą przemawiają, abyśmy potrzebowali co więcej dodać, nad szczere z przekonania pochodzące życzenie, by u nas także jak w innych prowincyach działalność towarzystwa *Assicurazioni generali* rozszerzała się jak najwięcej, mianowicie co do zabespieczeń tontynowych na przeżycie.

Bo zaprawdę, grad i pożary mogą przyjść albo nie przyjść, ale śmierć przyjść musi koniecznie, i przychodzi nieraz niespodzianie. Zwalczyć jej zapewne nie potrafimy, ale okropne jej nieraz dla całych rodzin skutki zwalczymy niezaprzeczenie rzeczonemi zabespieczeniami.

Rozmaitość.

Z nad Wisły. — (*O Czasie* dokończenie.)

Znajdujemy w nim często gęsto niedorzeczne pleonazmy; jak naprzykład *«tutejszo-krajowy,» «ilekroć razy.» Ludność*, wyraz zbiorowy, używanym bywa najniewłaściwiej w liczbie mnogiej, w znaczeniu ludy. Zamiast osiąść, piszą *osiedlić się;* kiedy przecież osiedlić można tylko kogoś. Ale największą krzywdę wyrządza *Czas* językowi, używając wyrażeń i zwrotów, zupełnie obcych mowie naszej; przerabianych już to z języka francuskiego, już też z niemieckiego. Dla tego mam sobie za szczególny obowiązek, ostrzedz czytających go w dobrej wierze, przed wyrażeniami, powtarzanemi najczęściej. Tak między innemi *Czas*, zamiast kazać krążyć flotom, *krzyżuje* takowe. Zamiast powiedzieć, że coś zajmuje, że zwraca na siebie uwagę, piszą tam: *że obudza interes.* Zamiast trzymać na wodzy, Czas *trzyma w szachu.* Zamiast powiedzieć, że coś nabiera lub nabierze wielkiego znaczenia, że wywrze wielki wpływ, w *Czasie odgrywa* ono *wielką rolę.* Piszą tam: *w razie danym*, zamiast: w pewnym przypadku; *nie jesteśmy w położeniu*, zam. po prostu: nie możemy; *nie leżało to w zamiarach autora* zam. autor nie zamierzał tego, nie miał takiego zamiaru; *ta rzecz jest kwestyi*, zam. o to chodzi, lub: o to spór się toczy; *mamy mocną opiniją;* zam. jesteśmy przekonani; *szanse wojny* zamiast koleje wojny; *szansa dla powszechnej zgody*, zam. widoki, nadzieja powszechnej zgody; *podnieśliśmy tę okoliczność* zam. wytknęliśmy tę okoliczność; *wojna istnieje faktycznie* zam. wojna toczy się rzeczywiście. Dalej piszą z cudzoziemska *Cesarz Austryi, Cesarz Rosyi*; a jednak czytamy na innem miejscu «król pruski« »królowa angielska.» Redaktorowie *Czasu* upodobali sobie szczególniej słowo *stawiać.* I tak naprzykład *stawiają kwestye, żądania, warunki, zasady, rękojmie*, zamiast zadawać pytania, kłaść albo podawać warunki, stanowić zasady, żądać rękojmi. Również często spotykamy się w *Czasie* z *«punktem wyjścia,»* wyrażeniem francuskiem, które w naszej mowie wydaje się zupełnie niedorzecznem; jak np. *punkt wyjścia do negocyacyi o pacyfikacyą*, zam. od tego możnaby rozpocząć rokowanie o pokój; albo: *nastręczać dogodny punkt wyjścia do położenia końca wojnie*, zam. nastręczać sposobność do zakończenia wojny.

Obok tylu gorszących przykładów każenia języka, zebranych z kilku tylko numerów Czasu, możnaż co innego przypuścić, jak to, że redakcya postanowiła sobie najgwałtowniej psuć język? Ale chociażby nie miała tego niegodziwego zamiaru, jakże spodziewać się dobrej polszczyzny w dzienniku, którego redaktor główny j. p. M. Mann, temu lat dwa opisując w *Czasie*, jakim sposobem zapoznał się w Szwajcaryi z Napoleonem III., nie wstydził się wyznać, iż jeżeli czytelnicy w jego opowiadaniu znajdą niejeden usterk ze względu na język, pochodzi to z tąd, że je tłumaczył z notatek, które zwykle pisuje po francusku (rozumie się dla tego, że mu to łatwiej i przyjemniej). Dodam do tego, iż nieszczęśliwa *szara godzina*, utwór schorzałej wyobraźni, byłaby się wydała jeszcze stokroć gorzej, gdyby j.p. L. Siemieński nie był w niej ile tyle okrzesał języka.

Pod tak zgubnym tedy wpływem wychodzi *Czas;* taki człowiek wpływa na dobór osób, należących do wydawania tego dziennika. Jeżeli więc redakcyja ma jeszcze sumienie, niech rozważy wielką prawdę, którąśmy niedawno temu czytali w samym *Czasie* na wstępie recenzyi jeografii Seltena (przetłumaczonej przez Poplińskiego). «Że kto nie umie pisać po polsku, niech się nie rwie do pióra, ale raczej odda je ręce wprawniejszej;» a nie byłoby już więcej tego nieustannego zgorszenia. Biada zaś temu, przez kogo zgorszenia przychodzą! Lepiej by mu było, jak powiedział Chrystus Pan, aby młyński kamień zawieszony był na szyi jego i wrzucony był w morze.

P. S. Jeszcze jedno piękne słowo, które właśnie wyczytałem w *Czasie*, t. j. *okałać* zam. otaczać. Zapewne każdy prędzejby je wywiódł od kału, aniżeli od koła.

*Pozawczoraj przybył do Lwowa Jego Cesarzewiczowska Mość Arcyksiążę Ernest, feldmarszałek porucznik i dowódzca 10go korpusu i stanął w hotelu Hofmana. Pozawczoraj był w teatrze na niemieckiej operze: «Norma,» lecz zaraz po pierwszych wyszedł scenach. Wczoraj dla J. C. Mości dano niemiecką komedyę, w miejsce przypadającego na ten dzień przedstawienia polskiego.

* W środę 18go b. m. miasto Lwów wyprawiło w lasach swych zubrzeckich polowanie dla dostojnej jeneralicyi tutejszej. Zabito dwie sarny, lisa, kilkanaście zajęcy i wielką ilość słomek, których tego roku ma być ilość znaczna. JE. hr. Schlick ubił między innemi jastrzębia w lot, unoszącego w swych szponach słomkę.

* Cesarzewicz Jegomość Karol Ludwik zwidził w Czwartek wraz z J. Ex. hr. Schlickem zakład rządowy stadniny w Drohowyżu.

* J. Ex. ks. Arcybiskup Baraniecki odjechał we cwartek z wizytą kanoniczna w brzeżańskie.

* Do dzisiejszego Numeru dołączone są dla abonentów mód dwie ryciny.

* Numer poprzedni Nowin z przerzuconemi kolumnami w druku mogą sobie wymienić szanowni prenumeranci.

Przyjechali od dnia 18. do 19. października do Lwowa:

PP. Wereszczyński Nikodem, z Brzeżan. Bogdanowicz Marceli, z Laszek murowanych. Bąkowski Bonawentura, z Izdebek. Barański Michał, z Radłowic. Wiśniewski Henryk, z Dobrzan. Dolański Józef, z Komarna. Cieleski Ludwik, z Łoziny. Studziński Wojciech, z Niesłuchowa. Karnicki Feliks, hr. z Roguźna. Vivien Wincenty, z Wysocka. Miączyński Jan, hr. z Brodów. Borowski Leon, z Cykowa.

PP. Waszkiewicz Włodzimierz, z Kornia. Stankiewicz Kajetan, z Lelechówki. Szlachtowski Stanisław, ze Złoczowa. Hoszowski Nereusz, z Chłopczyc. Walter Leopold, z Dwernik. Korzeniowski Aleksander, z Machnowa. Zawadzki Józef, ze Stryja. Tenczarowski Tomasz, z Brzeżan. Turkuł Tadeusz, z Tarnopola. Caboga Julianna, hr. z Bilki. Tretter Henryk, z Łonia. Piniński Leonard, hr. z Rokietnicy.

Wyjechali od dnia 18. do 19. października ze Lwowa:

PP. Gołębski Jan, do Sławentyna. Stadnicki Leon, hr. do Nadyb. Sabatowski Fryderyk, do Drochobycza. Jaruntowski Antoni, do Jabłonówki. Dybowski Jan, do Sambora. Wilczyński Włodzimierz, do Lipicy. Pajgert Stanisław, do Gaj. Udrycki Adolf, do Brzeżan.

PP. Krasicki Aleksander, hr. do Przemyśla. Dolański Józef, do Sambora. Paluszyński Józef, do Mokrzan. Trzciński Emilian, dc Grzymałówki. Krasiński Ludwik, hr. do Rohatyna. Melbachowski Adam, do Oleśnic. Tynicki Erazm, do Złotnik. Zawadzki Nikodem, do Krzew. Szeliski Walenty, do Nastasowa. Vivien Wincenty, do Podhajec. Zamorski Jan, do Płuchowa. Wiśniewski Henryk, do Tarnopola. Cieleski Ludwik, do Łoziny.

Kurs telegrafowany z Wiednia 20. b. m. o g. 2 popołud.

Amszterdam.	100.	Medyolan za 300 lirów	—.
Augsburg za 100 złr.	121½.	Paryż za 300 franków	142
Bukareszt	—.	Agio duk. ces.	—.
Frankfurt za 120 złr. podług 24½ stopy . . .	120½	Srebra agio	21
		Pożyczka 5% 84⅜.	4½ —.
Genua.	—.	Pożyczka lit. B. . . .	—.
Hamburg za 100 tal. banco.	89¼.	Akcye banku . . .	1240.
Konstantynopol	—.	Kolej północna . . .	1757½.
Liwurno.	—.	Obl. ind.	75.
Londyn za 1 funt szterl.	11. 49.	Nowa pożyczka z loteryą	96 11/16.
Marsylia	—.	Pożyczka narodowa . .	88¼.

Dzisiejszy. **Kurs lwowski.**		Gotówką				towarem.		
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	37	złr.	5	kr.	38.
Dukat cesarski	„	5	„	41	„	5	„	43.
Półimperyał zł. rosyjski	„	9	„	45	„	9	„	48.
Rubel srebrny rosyjski	„	1	„	53	„	1	„	54.
Talar pruski	„	1	„	48	„	1	„	50
Polski kurant i pięciozłotówka	„	1	„	23	„	1	„	24
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr.	„	85	„	26	„	86	„	50

Obligacye indemnizacyjne bez kuponu 74. 35 do 75 Złr. kr.

Lwów 20. Październ. Na dzisiejszym targu płacono korzec Pszenicy ozimej po 28 złr. 30 kr. do 30 złr. 25 kr. — Żyta po 22 złr. — kr. do 25 złr. 15 kr. Jęczmienia po — złr. — kr. do — złr. — kr. Owsa po 17 złr. — kr. do 17 złr. 15 kr. Grochu po 25 złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po 16 złr. 30 kr. do 19 złr. — kr. — Ziemniaków po 7 złr. 30 do 9 złr. 30 kr. Sąg drzewa bukowego 30 złr. 30 kr. do — złr. Sosnowego po 25 złr. 3 kr. do — złr. — kr. w. w. Centnar siana 2 złr. 12 kr. do 2 złr. 30. kr. Centnar słomy 1 złr. 35 kr. do 2 złr. 5. kr. w. w. Garniec 30 stopniowej okowity — Złr. — kr. m. k.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**